

Macnab Challenge, czyli szkocka trójaktówka

Witold Daniłowicz

Macnab Challenge, czyli Wyzwanie Macnaba, należałoby uznać za kwintesencję brytyjskiego podejścia do łowiectwa, a zapewne do sportu w ogóle. Tu liczy się bowiem nie tyle uzyskane trofeum czy nagroda, ile podjęcie się bardzo trudnego przedsięwzięcia i próba zrealizowania go w duchu zdrowego współzawodnictwa.

We wrześniu 2012 r. udało mi się spełnić jedno z moich myśliwskich marzeń – polowanie na byka jelenia z podchodu w Szkocji. W trakcie tej wyprawy przekonałem się, że autorzy opisujący z zachwytem tego typu łowy w ojczyźnie Williama Wallace’a wcale nie przesadzali (zainteresowanych czytelników odsyłam do artykułu „Polowanie na wrzosowiskach” Jerzego Pokrywki w **BŁ** nr 9/2013). Jest to rzeczywiście wyjątkowe przeżycie i niezwykła myśliwska przygoda: piękna sceneria, ciężkie, górskie warunki i wspaniała oprawa polowania.

W tamtej podróży towarzyszył mi mój sprawdzony kompan i przyjaciel George Crozer z Waszyngtonu. I to właśnie on rzucił szalony pomysł, żebyśmy ponownie wybrali się do Szkocji za rok. Tym razem jednak celem wyjazdu miał być nie podchód byka, ale podjęcie próby zdobycia najbardziej prestiżowego wyróżnienia w brytyjskim świecie myśliwskim – Macnab Challenge.

literacki pierwowzór

Nazwisko Macnab występujące w nazwie konkursu odnosi się do postaci będącej wytworem fantazji szkockiego pisarza Johna Buchana, który w 1925 r. opublikował powieść pod tytułem „John Macnab”. Bohaterami książki jest trzech dobrze urodzonych kolegów z Londynu (prawnik, bankier i minister), którzy jadą na wakacje do Highlands na zaproszenie swojego przyjaciela, będącego właścicielem dużego majątku ziemskiego w Szkocji. Ponieważ pobyt okazuje się dość nudny, mężczyźni postanawiają się rozerwać w bardzo oryginalny sposób. Wymyślają mianowicie postać Johna Macnaba

i w jego imieniu wysyłają „wyzwania” trzem sąsiadom swojego gospodarza. Każdy otrzymuje ostrzeżenie, że John planuje kłusować na terenie jego majątku w podanym terminie i strzelić tam byka oraz złowić łososia, a następnie dostarczyć im pozyskane sztuki tak, że nie zostanie zauważony, a jego tożsamość nie będzie odkryta. Tym samym „wyzwywają” więc adresatów, aby udaremnili ten zamiar. Po licznych perypetiach trzech przyjaciół, działających pod wspólnym pseudonimem, dopinają swego i wszystko się dobrze kończy. Jeden z nich poślubia nawet córkę jednego z sąsiadów.

didaskalia

Od momentu opublikowania powieści Buchana minęło wiele lat. Zapewne zostałaaby zapomniana, gdyby nie fakt, że wyczyn dokonany przez jej bohaterów stał się inspiracją dla brytyjskich myśliwych. Postanowili oni bowiem przekuć go w coś w rodzaju współzawodnictwa, które zyskało dużą popularność w Zjednoczonym Królestwie. Macnab Challenge w swojej klasycznej postaci polega na tym, że „sportowiec” (by użyć angielskiego określenia *sportsman*, które w tym wypadku odnosi się zarówno do myśliwego, jak i wędkarza) podejmujący wyzwanie musi w ciągu jednego dnia, tj. między wschodem a zachodem słońca, złowić łososia, strzelić dwie pardwy oraz upolować byka jelenia.

Nawet osobom średnio zorientowanym w temacie wędkarstwa i łowiectwa w Szkocji nietrudno będzie się domyślić, że dokonanie takiego wyczynu nie jest rzeczą prostą. Złapanie łososia, który płynie w górę strumienia na tarło i w tym

czasie nie żeruje, wymaga ogromnej pracy, a przede wszystkim sporo szczęścia. Jak miałoby się to udać komuś takiemu jak ja, kto nigdy nie miał do czynienia z wędkarstwem, a łowienie tej drapieżnej ryby na muchę oglądał jedynie na filmach, i to niezbyt często? Pozyskanie pardw wydaje się dość łatwe, ale każdy, kto polował na te ptaki w Szkocji, wie, że po pierwsze nie ma ich wiele, a po drugie – podrywają się bardzo wcześnie i przemieszczają z dużą prędkością, nisko, nierównym lotem. Strzały są zatem dalekie i trudne. Z kolei podejście byka w górach pozbawionych drzew i krzewów oraz bronionych przez roje meszek okazuje się przedsięwzięciem nie tylko męczącym, lecz także czasochłonnym.

Z tych właśnie powodów moją pierwszą reakcją po usłyszeniu propozycji George’a było zasugerowanie mu, aby natychmiast zakończył testowanie lokalnej whisky. Tłumaczyłem, że ponieważ sam dobrze strzela i co roku jeździ na łososie, może podjąć taką próbę, ale wciąganie w nią mnie jest kompletnym nieporozumieniem. Mój przyjaciel nie dawał jednak za wygraną:

– *Co ci szkodzi spróbować?* – mówił. – *Nawet jeżeli nie uda ci się złowić łososia, to przynajmniej zobaczysz, na czym to polega, a co do pardw i byka – polowaliśmy na nie już kilkakrotnie, więc dlaczego nie zrobić tego jeszcze raz? W najgorszym wypadku spędzimy parę przyjemnych dni w Szkocji!*

I tym ostatnim argumentem mnie przekonał. No bo czegoż się nie robi dla miłego towarzystwa...

Niezwłocznie przystąpiliśmy do omówienia szczegółów. Rzecz w tym, że pod-

jęcie Wyzwania Macnaba wymaga świetnej organizacji. Trzeba bowiem znaleźć miejsce, gdzie odległość między strumieniem, w którym żyją łososie, wrzosowiskiem z pardwami a górą, w których bytują jelenie, nie jest zbyt duża, tak aby nie tracić czasu na podróż. W końcu do dyspozycji mamy tylko ok. 14 godzin. Z niespodziewaną pomocą przyszedł właściciel naszego hoteliku – sam zapalony wędkarz i myśliwy – z którym postanowiliśmy skonsultować swój plan. Zachwycony pomysłem, obiecał wszystkim się zająć – zapewni nam nocleg i znajdzie w okolicy podprowadzających, którzy zabiorą nas na ryby, pardwy i byki.

prolog

Rok później, w końcu września 2013 r., znów byłem na lotnisku w Edynburgu i czekałem na George'a. Wynajętym samochodem wyruszyliśmy na północ na spotkanie z przeznaczeniem. Planowaliśmy spędzić w Szkocji trzy dni: pierwszy mieliśmy poświęcić na naukę łowienia łososia na muchę i na spinning (podstawowe techniki pozyskiwania tej królewskiej ryby), dwa kolejne zaś – na próby sprostania Wyzwaniu Macnaba.

Opanowanie umiejętności łowienia ryb na muchę to pasmo niekończących się frustracji. Stoi się cały dzień w wodzie i macha ogromnym wędziskiem z kilkunastometrową żyłką, na której końcu zaczepiona jest kolorowa przynęta. Zgodnie z instrukcjami mojego *ghillie* (w przypadku wędkarstwa *ghillie* oznacza instruktora albo profesjonalnego pomocnika wędkarza) tor lotu muchy podrywanej z wody musi nakreślić w powietrzu literę D, następnie przynęta powinna dotknąć powierzchni wody i w tym momencie trzeba ją poderwać, po czym zarzucić ponownie. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić! Po dwóch godzinach prób udało mi się wreszcie dokonać tej sztuki, a pod koniec dnia zaczęło mi już coraz częściej wychodzić. Ze spinningiem radziłem sobie trochę lepiej, ale tylko trochę. Wbrew pozorom bowiem rzucenie błyski na dużą odległość nie jest wcale takie proste i też wymaga odpowiedniej techniki.

Wieczorem ustalamy plan działania na następne dwa dni. Umawiamy się, że pierwszego dnia z Wyzwaniem Macnaba spróbuję się zmierzyć ja, a drugiego – George. W trakcie narady nasi podprowadzający (zwani po angielsku *stalkers*) proponują odwrócenie trady-

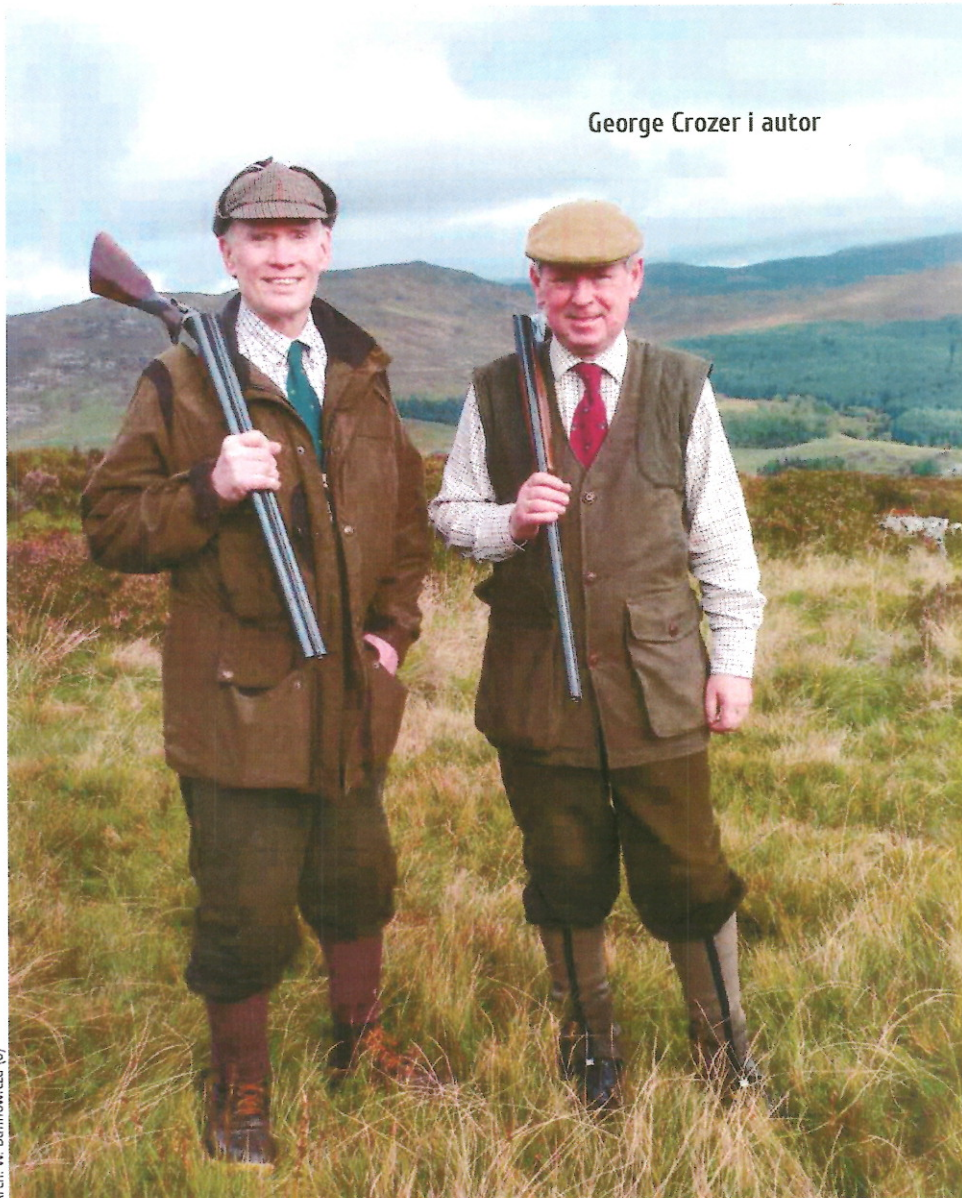
cyjnej kolejności pozyskiwania gatunków. Zazwyczaj wcześniej rano łapie się łososia, potem podchodzi się byka, a na końcu idzie się na pardwy. Ponieważ jednak w okolicy jest chmara jeleni, która o świcie przesuwa się z doliny na szczyt okolicznych gór, towarzyszący nam Szkoci uważają, że najlepiej będzie zacząć od byka, potem skupić się na ptakach, a resztę dnia poświęcić na wędkowanie, które zawsze stanowi najtrudniejszą część Macnaba. Przeznaczenie najwięcej czasu na połów wydaje się tym bardziej uzasadnione, że łososie – mimo licznej populacji – w tym roku słabo biorą. Ponadto trzeba uwzględnić, że jeśli chodzi o wędkarstwo, jestem zupełnym nowicjuszem.

akt pierwszy

Następnego dnia pobudka o 5.20. I od razu pojawia się niespodziewana trudność: nie mogę wstać z łóżka! Jestem cały obolały i każdy ruch sprawia mi ból. W końcu doprowadzam się do pozycji

pijonowej. Zaczynam się czuć nieco lepiej – mogę się już swobodnie poruszać, aczkolwiek wykonanie niektórych ruchów nadal stanowi dla mnie duży problem. W czasie treningu w rzucaniu wędziskiem używałem mięśni, których na co dzień używam rzadko. Mięśnie brzucha miały dość i dały temu wyraz. Najważniejsze jednak, że jestem w stanie jako tako funkcjonować.

Punkt 6.00 spotykam się z George'em, który jedzie ze mną dla towarzysztwa, oraz podprowadzającym, i ruszamy jego Land Roverem w głąb doliny. Po 45 minutach zostawiamy samochód i przesiadamy się do małego pojazdu terenowego na ośmiu szerokich kołach ułożonych jak gąsienice. Podążamy nim w góry, gdzie po godzinie zaczynamy podchód. Przesuwamy się w kierunku trasy, którą na ogół wędrują jelenie. Jest już na tyle jasno, że po pół godzinie udaje nam się je wypatrzeć – chmara znajduje się jakieś 3 km od nas i powoli się wspina. Musimy jeszcze przejść ►



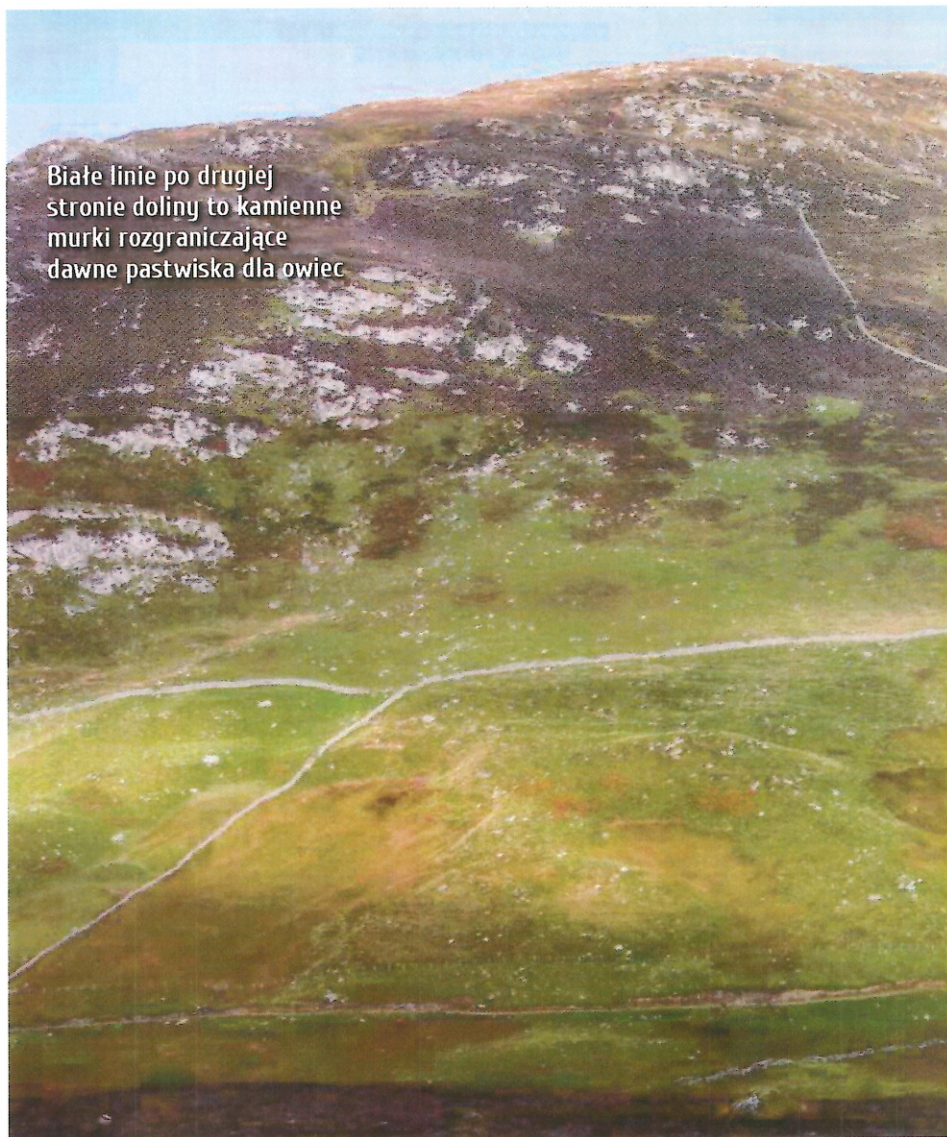
Arch. W. Daniłowicza (6)

ok. 1 km, aby dotrzeć do miejsca, gdzie będziemy je mieli na odległość strzału.

Podchód w Szkocji nie należy do najłatwiejszych. Teren – rozległe zbocza gór porośnięte wrzosowiskami – aż roi się od pułapek w postaci dziur, w które noga niespodziewanie wpada aż po kolano, ukrytych strumyków i śliskich kamieni. Co gorsza, poza naturalnymi nierównościami i dużymi głazami nie ma tu nic, co zapewniłoby myśliwemu ochronę przed wzrokiem zwierzyny. Końcówka podchodu prawie zawsze kończy się więc czołganiem po mokrych mchach, wrzosach i błocie, a strzały najczęściej oddaje się na leżąco. Dlatego też niemal wszystkie sztucery używane przez miejscowych łowców są zaopatrzone w małe podnóżki, które znacznie ułatwiają strzelanie w takiej pozycji. Warto także dodać, że większość podprowadzających ma broń wyposażoną w tłumiki – pojawiły się one kilka lat temu i dzisiaj powszechnie się je stosuje. Jak mi tłumaczono, wynika to głównie z troski o zdrowie (tłumik chroni słuch) i niewprowadzanie niepokoju wśród jeleni. Nie bez znaczenia jest również to, że w razie spudłowania myśliwy może oddać kolejny strzał.

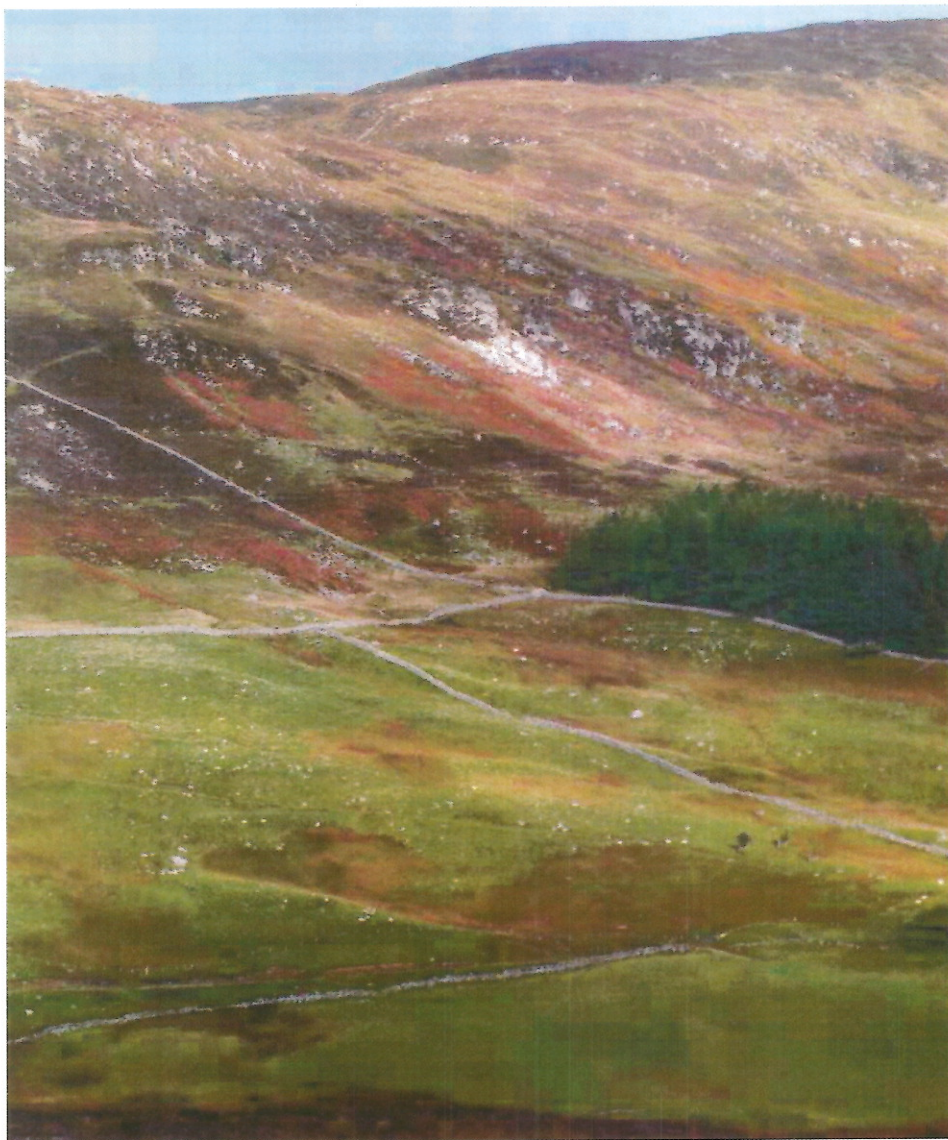
Posuwamy się pod górę po śliskich ścieżkach. Co jakiś czas zrywają się pard-

Białe linie po drugiej stronie doliny to kamienne murki rozgraniczające dawne pastwiska dla owiec



wy – zarówno pojedyncze sztuki, jak i małe stadka. To dobry znak. Duża ilość tych ptaków pozwala mieć nadzieję, że później uda się w miarę szybko strzelić wymaganą parę, ale w tym momencie raczej nie są pożądane, bo mogą zdradzić naszą obecność. Podobnie zresztą jak owce, których spory kierdel pojawia się nagle na naszej trasie. Krótka naradza się, co dalej robić. Postanawiamy się wycofać i je obejść. Musimy jednak nadłożyć mniej więcej 500 m, z czego 300 m ostro pod górę. Ale nie ma innego wyjścia.

Po półtoragodzinnym marszu i wspinaczce dochodzimy wreszcie w okolice miejsca, gdzie nasza trasa powinna się przeciąć z trasą wędrówki chmary. Od jakiegoś czasu jesteśmy dla nich niewidoczni (a one dla nas), ponieważ zakrywa nas małe wzniesienie terenu. Podprowadzający wychyla się zza niego i natychmiast się cofa – zwierzęta znajdują się bowiem jakieś 300 m przed nami. Musimy się więc doczołgać na odległość strzału. Szorowanie brzuchem po mokrych i błotnistych wrzosach ze sztuczerem na plecach nie należy do



przyjemnych przeżyć, ale świadomość, że cel jest już blisko, pozwala zapomnieć o niewygodach.

Przed nami nieduży występ, za którym można się schować. Gdy udaje mi się do niego dotrzeć, wychylam głowę. Z chmary liczącej ok. 70 sztuk widzę jedynie dwie łanie i cielaka. Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że więcej osobników ukaże się później. Jesteśmy jednak zbyt blisko, żeby się przesunąć w inne miejsce, i musimy czekać. Po 15 minutach nasza cierpliwość zostaje nagrodzona – pojawia się młody szóstak. Czuję się trochę zawiedziony. *Stalker* szeptał tłumaczy mi, że wprawdzie nie jest to sztuka mocno trofealna, ale moja wyprawa ma na celu zdobycie nie pięknego trofeum, lecz Macnaba, dlatego powinienem pozyskać pierwszego byka, jaki się pokaże. Chodzi przecież o czas! Przekonany tym argumentem przygotowuję się do strzału. Podnoszę się do pozycji kłęczącej, a broń opieram na podstawionym przez mojego towarzysza i rozwiniętym do połowy dwójnogu. Od jelenia dzieli mnie jakieś 150 m. Krzyż

na komorze. Strzał. Ku mojemu zdumieniu, mimo tłumika, jest bardzo głośny.

Nie wiem, co się stało z moim bykiem, gdyż nie widzę żadnej sztuki leżącej na ziemi. Czyżbym chybił? W chmarze się zakotłowało. Zwierzęta się spłoszyły. Ponieważ huk odbił się od ściany lasu (dlatego był taki donośny), nie wiedział, skąd padł strzał i w którą stronę uciekać. Wtedy właśnie pokazała się reszta chmary, a w środku piękny, stary dziesiątak. Jaka szkoda, że nie wyszedł wcześniej! Po chwili wahania stado rusza ostro pod górę i kontynuuje swoją wędrówkę. Na placu zostaje jedna sztuka – to mój szóstak! Nie idzie z innymi zwierzętami. Szybki strzał. Tym razem pada w ogień. Po chwili podchodzimy do niego i oglądamy tuszę. Stwierdzamy, że w momencie gdy strzelałem po raz pierwszy, byk musiał zrobić krok, dlatego spóźniłem go o 15 cm.

Po zrobieniu zdjęć i wypatroszeniu zdobyczy czas pomyśleć o kolejnej odświeżeniu dramatu – pozyskaniu pary pardw (w angielskiej gwarze myśliwskiej: *a brace of grouse*). Przewiezieniem

tuszy byka zajmie się *stalker* wtedy, gdy ja będę łowił łososia.

akt drugi

Jest dopiero 10.00 rano, mamy więc całkiem sporo czasu. Teraz jeszcze czeka nas półgodzinny marsz do naszego pojazdu. Tam zamieniamy sztucer na strzelbę oraz kurtki na kamizelkę i ruszamy na pardwy. George też bierze strzelbę. Ustalamy, że pójdziemy tradycyjną formacją trójkową: mener w środku, myśliwi po bokach, a pies przed nami. Polujemy na tym samym wrzosowisku, kilkaset metrów od miejsca, gdzie strzeliłem jelenia.

Okazuje się jednak, że znów musimy odejść od tradycji. W przeciwieństwie do normalnych łowów z podchodu, w przypadku których czworonóg wystawia ptaki, tutaj będzie nam służył tylko do aportowania. Pardwy zrywają się bardzo wcześnie, a jeżeli przed myśliwymi biegnie pies – jeszcze wcześniej, co powoduje, że jest to wyjątkowo trudno strzelić. Idziemy więc po wrzosowisku, licząc na to, że nasze kroki, podobnie jak przy podchodzeniu byka, wypłoszą ptaki. Nie mylimy się. Po kilku minutach zrywa się małe stado, które bierze nas z zaskoczenia. Wszystko dzieje się tak szybko, że zanim złożyliśmy się do strzału, pardwy były już poza zasięgiem. Płynie z tego prosty wniosek: trzeba się bardziej skupić. Jest to jednak dość trudne, bo – jak wspominałem poprzednio – chodzenie po wrzosowisku, nawet jeśli nie staramy się ukryć, nie należy do łatwych zadań. Już po pierwszych 30 minutach zaczynamy ciężko oddychać.

Wkrótce los się do mnie uśmiecha. 30 m przede mną zrywa się kura, którą udaje mi się trafić. Spada niezbyt daleko. Pies nie ma żadnego problemu z jej odnalezieniem i zaaportowaniem. Zdobycz wydaje mi się podejrzanie duża jak na pardwę. Okazuje się jednak, że moje wątpliwości są słuszne – to cieciora. Ale ponieważ cietrzew należy do tej samej rodziny co pardwa (po angielsku oba ptaki nazywają się *grouse*: *black grouse* to cietrzew, a *red grouse* to pardwa), spełnia kryteria Macnaba. Potrzebna jest jeszcze jedna sztuka. Kolejna okazja nadarza się po 15 minutach. Zrywa się stado, padają dwa strzały i mamy dwa ptaki. Tym razem obydwu – zarówno George'owi, jak i mnie – dopisało szczęście. Tuszki zabieramy ze ►



sobą. Spróbujemy przekonać hotelowego kucharza, żeby je upiekł.

Ruszamy pędem do pojazdu i w drogę do hotelu. Według naszego planu mamy teraz czas na szybki obiad, po którym udamy się nad wodę. Potrzebujemy jednak chwili odpoczynku, bo kilkugodzinne łożenie po szkockich wrzosowiskach jest jednak dość męczące dla nieprzywykłych do tego osób. Krótka drzemka, kanapka, kawa, zmiana spodni na wodery i jedziemy nad Tay, czyli najdłuższą rzekę Szkocji.

Czeka tam już *ghillie* – Gordon, uprzedzony telefonicznie o naszym przyjeździe. Jest podniecony nie mniej ode mnie. Zdaje sobie bowiem sprawę, że mój Macnab leży w jego rękach. Mam już byka i pardwy, brakuje tylko łososa. Ponieważ dotarliśmy na koniec przerwy obiadowej, poza Gordonem w obozowisku przebywa jeszcze kilku wędkarzy. Korzystając z tej okazji, nasz opiekun ogłasza wszystkim, że właśnie ruszamy na ostatni etap walki o Macnaba, co wywołuje życzliwe poruszenie, gdyż wyróżnienie to naprawdę ma status żywej legendy wśród brytyjskich wędkarzy i myśliwych.

akt trzeci

Gordon wybiera dla nas miejsce, potem wędkę, a na końcu muchę. Decyduje się

na „krewetkę” – jedną z popularniejszych przynęt, mającą przypominać łososiowi skorupiaka, którym żywił się w czasie podróży przez Atlantyk. W pełni wyposażeni ruszamy na brzeg. Jest 14.00. Staję w wodzie po kolana i rzucam muchę. Po każdym rzucie robię jeden krok w dół rzeki. Godziny mijają, a mnie się nie udaje nic złapać. Wprawdzie widziałem kilka dużych sztuk wyskakujących niedaleko mnie, ale żadna nie skusiła się na moją „krewetkę”. Powoli dochodzę do wniosku, że wędkarstwo nie jest zajęciem dla mnie!

Łowienie łososa to rzeczywiście trudny sport. Wymaga nie tylko świetnej techniki i nie lada cierpliwości, lecz przede wszystkim szczęścia. Rzecz w tym, że w trakcie podróży na tarło w górę rzeki ta królewska ryba nie żeruje. Jeżeli łosoś spostrzeży muchę, to nie rzuca się na nią dlatego, że czuje głód, ale raczej dlatego, że wędkarzowi udało się mu ją rzucić prosto przed nos, a ponieważ ten drapieżnik instynktownie kłapie zębami na widok małego intruza, przy okazji łapie się na haczyk.

Po trzech godzinach bezskutecznych połowów robimy naradę strategiczną. Gordon sugeruje przesunięcie się 500 m w dół rzeki. Namawia mnie również do zamiany muchy na spinning, na co się oczywiście godzę. Z nową dozą optymiz-

mu i woli walki wracamy na stanowiska. Miną kolejne dwie godziny, zanim pocuję silne szarpnięcie i duży opór na żyłce, którą chcę nawinąć na kołowrotek.

Branie! Krzyczę do Gordona, który stoi na brzegu. Biegając, głośno instruuje mnie, abym nie utracił napięcia na żyłce i powoli nakręcał ją na kołowrotek. Sekunduje mojej walce. W rękę trzyma wielki podbierak, ale zanim będzie mógł go użyć, ja muszę przeciągnąć rybę w poprzek rzeki – jakieś 30 m. Pojedynek trwa 15 minut, może dłużej. Po 10 minutach, gdy mój przeciwnik jest jakieś 15 m ode mnie, widzę go po raz pierwszy, jak wyskakuje z wody. Duża sztuka, nic dziwnego, że stawia taki opór. Po kolejnych kilku minutach łosoś znajduje się już na tyle blisko, że Gordon może wejść głębiej do wody i złapać go w siatkę. Jest mój!

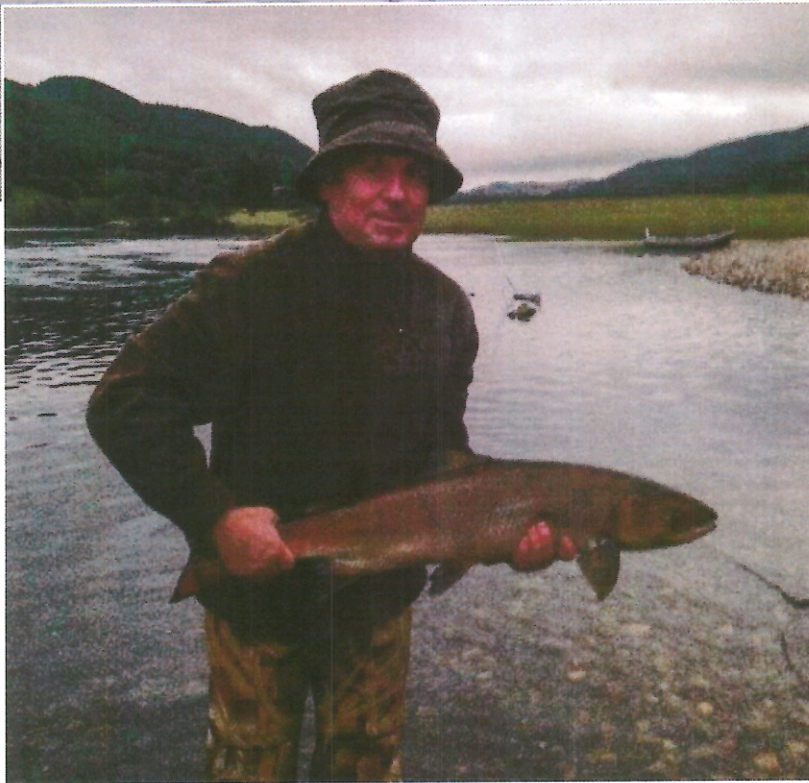
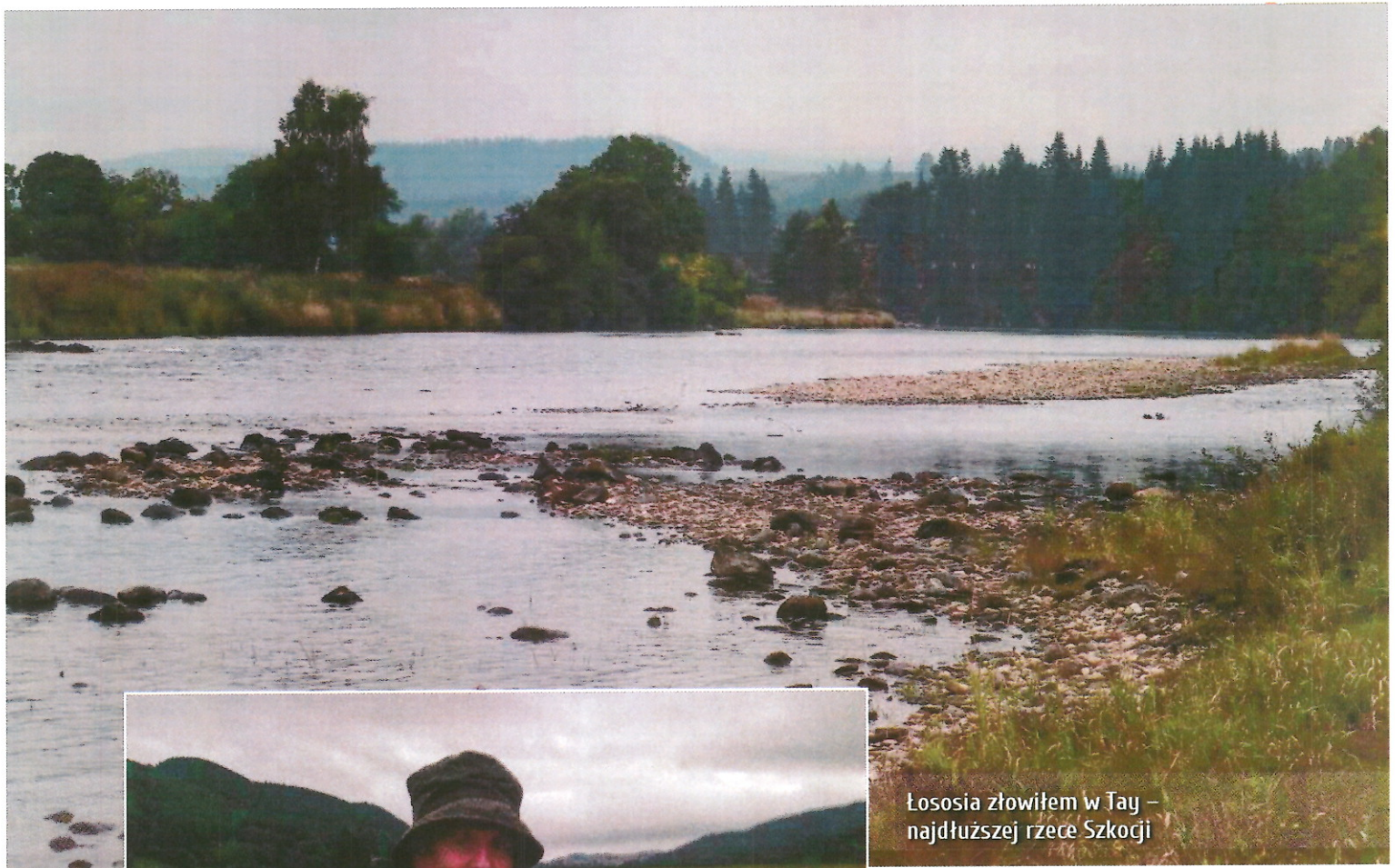
Podbierak ma wbudowaną wagę. Moja zdobycz waży 14 funtów (6,35 kg) – naprawdę piękna sztuka. Czas na zdjęcie. To nie takie proste, bo śliski łosoś strasznie się wyrywa. W dodatku zrobiło się dość ciemno. Jest już 19.00. Po dopełnieniu formalności można było wypuścić rybę z powrotem do rzeki. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że udało mi się dokonać tego, w co tak naprawdę do końca nie wierzyłem. Zdobyłem Macnaba!

epilog

Po powrocie do hotelu pierwsze kroki kierujemy do baru. Trzeba oblać sukces, no i przede wszystkim się rozgrzać. Nasz plan, aby zakończyć na jednej szklaneczce whisky, spalił na panewce, gdy reszta gości – z których większość też przyjechała na byka albo łososa – dowiedziała się o zdobyciu przeze mnie Macnaba. Zostajemy poczęstowani kilkoma dodatkowymi szklaneczkami. Odbieram także mnóstwo gratulacji.

Później już tylko kąpiel i kolacja. Jako danie główne dostajemy upolowane przez nas pardwy, które hotelowy kucharz zdążył przygotować. Obiektywnie rzecz biorąc, nie było to najlepsze danie, jakie jadłem w życiu, ale świadomość, że spożywam strzeloną przez siebie zwierzynę, i to po takim sukcesie, spowodowała, że smakowało znakomicie.

Następnego dnia do walki rusza George, a ja mu kibicuję. Niestety zaraz po wyjściu z hotelu okazuje się, że pogoda się załamała i gęsta mgła praktycznie uniemożliwia podchód. Mimo to jedzie-



Łososia złowiłem w Tay –
najdłuższej rzece Szkocji

my w góry z nadzieją, że może tam będzie lepiej. Nic jednak nie widać. Stoimy na drodze i zastanawiamy się, co robić dalej. Podjeżdża kilka innych samochodów z myśliwymi, którzy również planowali podchodzić byki tego ranka. Wszyscy są zgodni – dzisiaj nic z tego nie będzie. George jest zmartwiony, ale postanawia spędzić resztę dnia nad rzeką. Tu także szczęście mu nie sprzyja. Miał jedno branie, ale niestety ryba się urwała.

I tak nasz pobyt w Szkocji dobiegł końca. Jeśli chodzi o moje osiągnięcie, została już tylko kwestia formalna –

trzeba je zgłosić do miesięcznika „The Field”. Ten najpoważniejszy angielski magazyn poświęcony łowiectwu, wędkarstwu i jeździectwu bardzo się przychylił do popularyzacji Macnab Challenge. Kilka lat temu powołał do życia nieformalny klub, do którego mogą należeć wszyscy zdobywcy tego wyróżnienia. Co roku pod koniec listopada „The Field” organizuje kolację, na którą stawiają się w smokingach zwycięzcy z danego roku. Każdy z nich dostaje pamiątkowe spinki do mankietów i nabywa prawo do noszenia klubowego krawata.

Idea Macnaba stała się tak popularna wśród myśliwych i wędkarzy czerpiących z wzorców brytyjskich, że powstało wiele lokalnych odmian tego „wyzwania”. W miejscach, gdzie nie występuje łosoś, łowi się inną rybę, gdy nie ma byków, strzela się kozła lub inną zwierzyinę grubą, a w przypadku braku pardw pozyskuje się inne ptaki. Ogólna zasada pozostaje jednak taka sama – w jeden dzień należy złapać rybę oraz upolować grubego zwierza i ptaki.

W sumie w „The Field” zarejestrowanych jest 10 różnych odmian Macnaba, w tym Macnab Afrykański, do zdobycia którego wymaga się strzelenia dwóch stepówek (*sandgrouse*) i antylopy impala oraz złowienia strzępiela słodkowodnego (*tigerfish*), Macnab Argentyński, w przypadku którego trzeba złapać złotą doradę oraz pozyskać 200 gołębi i dziką, a nawet Macvermin (czyli dosłownie „Macszkodnik”), w którym stawką są: duży szczur, szczupak i dwie sroki. Może czas na stworzenie polskiej wersji Wyzwania Macnaba? ●

Drodzy Koledzy myśliwi i wędkarze, jeśli macie ciekawe pomysły dotyczące organizacji Macnaba w Polsce oraz znacie łowiska, w których można by było podjąć to wyzwanie, proszę o kontakt pod adresem e-mail: witold.danilowicz@gmail.com